

## Melchior Wańkowicz – Tędy i owędy

### *Nasza kamienica.*

Stoi na rogu Rakowieckiej i Puławskiej. To tu w pierwszym dniu powstania poległ w ataku „Baszty” na bunkier mój bratanek, Rom, to tu długie miesiące tkwił krzyżyk z dwu poprzeczek z napisem chemicznym ołówkiem „Knot”, bo taki był jego pseudonim.

Stara landara-kamienica stała wypalona, ślepiąc czarnymi ramami okien. Przyszedł czas, że na niższych piętrach zamieszkali ludzie. I przyszedł czas, że nadbudowano wyższe piętra i na piątym piętrze przydzielono dwupoko-jowe mieszkanie właśnie dla mnie.

Kamienica jest zbudowana przez zespół Zjednoczenia Budowlanego czy jakoś tam i tylko parę mieszkań takich jak moje oddano kwaterunkowi, karząc je za to gorszą klepką — bukową. W innych mieszkaniach mieszkają cieśle, betoniarze, posadzkarze i inni robotnicy.

Windy nie mam — chyba że jeżdżę inną klatką schodową na szóste piętro. Te pięć pięter wspinam się klatką schodową typu piwniczno--kuchennego, z poręczą ze wstęgi metalowej, z wąskimi lastrykowymi stopniami, nie śmierdzącymi jeszcze kotami dlatego, że wprawdzie muszą się rozgospodarować ludzie.

Z okien mego mieszkania widzę kino „Moskwa”, sąsiaduję z więzieniem i mam przed oczyma pętlę tramwajową. Dalej jednak rozlega się widok na Wisłę, po której przesuwiają się żagle po linii z niewiadomego w niewiadome.

Znajomkowie przyepochlebnie dziwiają się — jak mogli przydzielić panu mieszkanie w tak hałaśliwym punkcie? Ale hałas z dołu pięciu pięter Przychodzi jak szum morza — nie szkodzi po Ameryce.

Byłem u kilku pisarzy w domu ekskluzywnym, z portierem, kryształową windą i marmurowymi schodami. I myślę, że ktoś, kto mi dał te dwa pokoje ze zwykłymi białymi ścianami, nie skrzywdził mnie — że może bym „tam” gorzej pracował. Za drzwiami mego mieszkania pulsuje życie wielkiej natłoczonej kamienicy. Ale jest to życie ludzi pracy. Zachodzimy do siebie, mówimy o naszych kłopotach. Kiwiają głowami z lekkim politowaniem nad jakąś moją komódką z epoki, trzymającą się na słowo honoru, posklecaną drewnianymi kołkami, albo nad stolikiem z czasów sas-

kich, kleconym ćwiekami kowalskimi ręcznej roboty Ubolewają nad pokryciem kana-  
py, posklejanej z resztek znalezionych w wozowni, pokrycie z epoki obfituje w plamy,  
których nie dało się usunąć Potem idziemy do ich mieszkań, oglądamy kwiatki i  
ptaszki malowane przez szablon na ścianie, podziwiamy nowe dywany z fabryki,  
moim zdaniem, zbyt drogie, i nagadawszy się o meblach, o braku wody i gazu,  
mówimy o ich pracy i o mojej pracy, stawiając uczciwy znak równania między nami, z  
wzajemnym zrozumieniem generalistów. A potem już ze zrozumieniem aż do  
szczegółów — o dzieciach.

O dzieciach należycie odhodowanych, schludnych, zadbanych

Ta kamienica — to mikrokosmos Polski. Z jej drobnych trosk uczę się trosk  
dużych.

Pewnego razu na szóstym piętrze, nad sobą, posłyszałem kucie muru i  
wzburzone głosy.

Pobiegłem i zobaczyłem tłum wzburzonych kobiet. Dwaj murarze, ochraniani  
przez asystującego milicjanta, zamurowywali wejście do suszarki, obsługującej  
wspólną pralnię. Takich suszarek było cztery na kamienicę liczącą 69 rodzin. Jedną  
już zabrali na rzecz poszerzenia mieszkania jakiegoś protegowanego szczęśliwca.  
Pozostałych więc trzech kamienica pilnowała czujnie. Znalazł się i teraz  
amatorskiad na kolejną suszarkę. Komitet Blokowy zgłosił protest, otrzymał decyzję  
na piśmie... Aż tu nagle .. Bez uprzedzenia o zmianie decyzji.. Bez pozywania kogo-  
kolwiek do złożenia wyjaśnień... W asyście milicjantów, od razu z murarzami... Od  
razu fakt dokonany... Najazd jak za dawnych szlacheckich czasów.

Robotnicy ponuro odpowiadają:

— My nic nie wiemy... Nam kazali... Ale widać, że i im wstyd.

Kobiety bezsilnie się miotają. Władza z pistoletem to władza.

— Wiadomo — biednym zawsze wiatr w oczy.

Pobiegli do Urzędu Mieszkaniowego. Ale urzędnik ich nie przyjął — czasu nie  
ma dla 69 rodzin, które ulegają bezprawiu.

Wtedy przybiegli do mnie. Pralnia mi niepotrzebna, bo oddajemy pranie na  
miasto. Ale wziąłem przedstawicieli Komitetu Blokowego ze sobą. Wyszedł  
niechętnie przed drzwi dygnitarz.

— Pana przyjmę, a ci panowie niech poczekają.

— Dlaczego? Przecież to przedstawiciele swej kamienicy.

Okazuje się — za wysokie progi.

No, gadam więc sam. Wzywają urzędników. Okazuje się, że Komitetu Blokowego nie zawiadomiono, bo to me urząd, nie ciało formalne

— Ale reprezentuje lokatorów. A gdyby to był interes jednego lokatora, czy miałby prawo otrzymać powiadomienie o zmianie decyzji (nie mówiąc o tym, że zmiana decyzji poza jego plecami jest nadużyciem)? Więc z jednym byście się liczyli, a z zespołem wcale?

Akta wjeżdżają. W osnowie ponownej konspiracyjnej decyzji i metraż mylny, i normatyw fałszywie wyinterpretowany.

Nie mam wątpliwości, że to nadużycie. Żądam wysłania urzędników, sam ich wiozę, mierzą, spisują protokół— tak jest, władze podały inne cyfry niż lokatorzy w swej skardze, podały fałszywy metraż, lokatorzy mieli rację.

Żądam wstrzymania robót. Zaczyna się groteska. Raz po raz przychodzą urzędnicy, grzecznie pukają do drzwi mieszkania, gospośka odpowiada, że ona wpuszczać me ma prawa, odchodzą potulnie. A wewnątrz roboty szaleją.

Biegnę wyżej i jeszcze wyżej, i najwyżej — do ostatecznej instancji. Wszędzie rozdzwaniają się telefony, konsultują się przy mnie, kiwiają głowami — okazuje się, że najniższe instancje mówią wyższym, a wyższe najwyższym, że lokatorom stała się krzywda.

Żądają przesłania akt z niższych instancji. Owszem, mogą sobie żądać. Przy codziennym moim dopominaniu się akta z jednej ulicy na drugą idą dwanaście dni a roboty w suszarce aż warczą.

Przychodzi sprawa do wyższej instancji. Jestem na rozprawie. Biorę rzeczoznawcę. Metraż, normatywy, po stronie lokatorów. Poprzednią decyzję uchylono cichcem, przez zaskoczenie, zrobiono najazd z milicją. Sprawa chyba jasna...

Ale komisja odsyła sprawę — do ponownego rozpatrzenia przez tę instancję, która popełniła te wszystkie nadużycia.

Urywa mi się zaufanie do władz nadzorczych. Widać należy wyrzucić nacisk. Dzwonię do pisma, przysyłają dziennikarza i fotografa. Fotografuje wilgotną bieliznę po jednoizbowych mieszkaniach, chorą kobietę pod jej nawisem, dzieci raczkujące. Straszliwie rozmnaża się nasza kamienica, coraz jest ciaśniej, coraz bardziej zawilga.

Na wszystkich szczeblach — radosny optymizm. Szlachetne oburzenie. Nikt tam inaczej nie mówi, tylko że lokatorom bezprawnie wydarto suszarkę. Pocieszają, że ponowna instancja przywróci praworządność.

Nie było mnie dwa miesiące w Warszawie. Kiedy wróciłem — zastałem wyrok na niekorzyść lokatorów, bo — „roboty adaptacyjne zostały po-czynione”. Władze te, w jeden głos oburzające się władze, nagle stały się filozofami — „prze-cie pan powinien rozumieć, że komisja to ciało niezależne”. I radzą — apelować.

Maluczki jestem. Podły. Załamane się. Nie mogę życia poświęcać tej suszar-ce.

Tym bardziej że cała kamienica mówi — „daj pan pokój. Biedni bogatych nie przemogą”.

Nie, bojownicy nie mieszkają w naszej kamienicy. Prości, uczciwi ludzie mający na swoje potrzeby swoją użytkową moralność, swoją użytkową filozofię, swoją solidarność maluczkich.

Kamienica jest solidarna. Niedawno cykliniarz Piętka (w tym opowiadaniu miejscami podaję nazwisko i fach fikcyjne) wrócił urzęnięty w sztok. Rozstawił się na środku podwórza i przed sześciu piętrami oficyn, które rozwarły okna, dał taki koncert wymyślań, że oko bieląło. Wymyślania były na temat, że pan Piętka źle zarabia, a wymierzone były wyłącznie i skoncentrowane na najwyższym dostojni-ku, o którego linii politycznej pan Piętka był jak najgorszego zdania i o prowadze-niu się mamy dygnitarza miał zadziwiająco dokładne informacje. Kamienica wezwała milicję, po czym pospólnie z władzą dygowała pijaka do mieszkania, zaklinając na wszystkie świętości, aby raz już stulił gębę i szedł spać.

Ciepły naród ci Polacy.

Na ogół jednak w kamienicy naszej nie ma pijackich wrzasków, pozdrawiamy się wszyscy przy spotkaniu, rządzi nami pan Franciszek, który przed pierwszą wojną nazywałby się stróżem, przed drugą — dozorcą, a przed trzecią nazywa się gospodarzem.

Rządy jego to jest absolutyzm oświecony w najlepszej formie. Kiedy do windy za mną pcha się chmara dzieciaków, pan Franciszek zjawia się z miotłą i moje po-dania, że do windy można brać cztery osoby, a za jedną osobę należy uważać troje bachorów, są odrzucane w trybie doraźnym.

Dzieciaki naszej kamienicy — według pana Franciszka jest „tej zarazy” sto i czterdzieści i jedna sztuka — to jest kompania, w której przebywam co dzień. Miałem tę nieostrożność, że kiedy po raz pierwszy wnieśli mi paczki, dałem im po parę cu-kierków. Od tego czasu padł na mieszkanie numer 35 srogi serwitut: na piąte piętro towarzyszy mi gromada a discretion,

wszystko to wlewa się do mieszkania, po kolei obraca się na moim amerykańskim kręcącym się fotelu, po kolei przykładła sztucce do magnesowego trzymadła w kuchni, podziwia rękawice traperskie z bobra, wirującą lampę, karykaturę „pana Wańkowica” („chyba to je bzuch aż Za wielki i cego pan Wańkowic język wyciągnął?”).

Jeden nieposkromieniec dojrzał wagę na listy — co to jest?

— Waga na listy. Połóż coś, to zobaczysz, ile gramów.

Eksperymentator ze wstrzymanym oddechem kładzie na wagę ciężką kopertę i w tej chwili, kiedy waga idzie w dół, ostro dzwoni telefon; odskoczył jak oparzony. Ot i uciecha dla całej kompanii.

Opatrzeni czterema landrynkami każdy (wczoraj nadzieliłem dwadzieścia sześć brudnych łapiąt, przy czym nic nie rozumiejącym dwuletnim maleń-tasom, wtaszczone na szóste piętro, siostrzyczki wyciągają łapiny — żeby było bez oszukaństwa) wywalają się na lastrykowe schody i jeszcze długo słyszą pod drzwiami kotłowaninę i surowe sprawdzanie: — Ty ile dostałeś?

Na wypadek, jeśli się pomylił, dzwonią i reklamują, a ja ryczę straszliwym głosem Bobym inaczej miał dzwonki cały dzień.

Raz mi zabrakło cukierków — w kuchni na dnie wielkiego pudła blaszanego było dużo okruchów. Zsypałem w torbkę. — Podzielcie się — mówię najstarszemu.

Kiedy po chwili wychodzę na schody, widzę rząd z pootwieranymi buziami. Ten najstarszy uformował lejek, chodzi wzdłuż szeregu i każdemu w gąbkę cyka. Okazuje się — nie wyliczył, że tego proszku cukrowego jest tak dużo, i kiedy za którymś tam razem przechodzi szereg, patrzą na niego oczy trwożne i rozpaczliwe — już w gębusiach nie ma miejsca, a tu jeszcze pragnie się przyjąć następną dosypkę.

Raz nawaliło ich tyle, że zorientowałem się, że więcej jak po dwa cukierki (wprawdzie te większe, nadziewane, w papierkach) — nie ob-skoczy.

Wywaliło się bractwo za drzwi, ale po chwili — dzwonek. U progu zdyszana ekipa: — Prose pana, ta czarna Jadźka to mówi, że ona do takiego chama, co daje dwa cukierki, nie będzie chodzić.

Matka czarnej Jadźki jest porzucona przez męża, z trojgiem drobiazgu. W ogóle po

cukierki do mnie nie zaglądną dzieci kamienicznej arystokracji, tylko najbardziej proletariackie wróble.

Czasem, kiedy jest tylko jeden przedmiot do dania, urządzone są jakieś zawody albo po prostu losowanie.

Mnie się zdaje, że tym razem padnie na Ryśka.

Ustawiłem w rzędzie, poczynam liczyć:

— Entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek, szklanka się rozbiła, starej babie nos oparzyła.

Ale nie doszło o dwa takty do Ryśka. Tedy, nie przerywając, kontynuuję: — Panie Janie Kapistranie, czemu nie grasz na organie? Grałem, grałem, zapomniałem, ale teraz przypomniałem...

No, a tym razem przeleciało Ryśka. Udaję, że nic nie spostrzegłem, i mruczę dalej:

— Uno, duo, tres, zając, żaba, baba, pies!...

Jest! Akurat pies padł na Ryśka. Inaczej mówiłbym: „Ewa, dewa, po-maguli..” itd. do skutku.

Starsze chłopaki tropnęły się.

— Bo pan Wańkowiec nakieruje zawsze na kogo chce.

W tych dzieciach jest wielkie poczucie sprawiedliwości (przy podziale kruszynek nikt nie jest skrzywdzony), ale też są to dzieci ulicy, dzieci pookupacyjnej Warszawy, które mają kult dla cwaniactwa. Tym razem uwielbienie dla mego cwaniactwa góruje nad poczuciem niesprawiedliwości. Rysiek otrzymuje starą taśmę do maszyny.

Na drugi dzień, kiedy wracam z miasta, dopada mnie sztafeta:

— O raju, ale Rysiek od mamy rżniętkę dostał.

Okazało się, że pojawił się rodzicielce „na zebkę”. Tak się usmarował taśmą.

— Rysiek! — wołam. — Dostałeś rżniętkę?

— No!..

Ma to znaczyć: „no, naturalnie”. Wszystkie rżniętki są mi referowane przez delikwentów rzeczowo, bez rozgoryczenia, tak chłop mówi, że grad wybił żyto — coś niezależnego, naturalnego, związanego z istnieniem wszechświata. Czasem zamiast cukierków jest guma do żucia, a czasem — baloniki. Ale baloniki dają pole niesłychanemu pieniactwu i kwerulanctwu. Najprzód, że jak wieść gminna niesie, wyłapują je pono tatusie dla celów użytkowych. Ale sądzę, że to plotka.

Natomiast w kole obdarowanych następują srogie litygacje.

Dzwoni dzwonek. We drzwiach —

petent, który przydygował przez pięć pięter trzyletniego, rozbeczanego i zasmarkanego. Jest to dowód rzeczowy łącznie z resztą balonika w łapce — który pękł. Uważają jak w wojsku — że za sprzęt zniszczony

w czasie działań bojowych należy się nowa sorta. Pod Piedimonte w czasie chwilowego zacisza kapelan wyskoczył ze schronu, kucnął, rąbnęło, wpadł ze spodniami w garści. Podoficer mundurowy wydał mu nowy pasek zaprotokołowawszy:

„w zamian za utracony przy działaniach bojowych”.

A tu właśnie były bynajmniej nie zmyślane działania bojowe — chcieli mu odebrać balonik.

Przychodzą wymienić balonik żółty na czerwony, reklamują, że dany balonik był krótszy, a że miał dziurki, znawcę się porobiły na gatunki baloników.

No więc ryczę straszliwym głosem — i tylko już widzę przerażone pięty migające w dół.

Zdobyłem sobie nietykalność mieszkania, ale biada mi, skoro się wyłonię.

Przed zejściem idę do kuchni i trwożnie poglądam w dół. Kuchnia wychodzi na podwórko, które od rana do nocy rozpiera niesamowity wrzask.

Oceniam, że sytuacja dla nie spostrzeżonego przemknięcia się jest taktycznie odpowiednia. Dziewczynki bawią się w koło młyńskie, chłopaków wyniosło na przymurek. A ponieważ moja klatka schodowa jest przy bramie, to się przemknę. Naiwne rojenia!... Powietrze przeszywa indiański wrzask pierwszego, który spostrzegł, i już mam całą bandę na karku.

Zwłaszcza mnie przyskrzybli, odkąd nabyłem samochód. Chwila siadania do samochodu i zapuszczania motoru jest powodem tak nasilonego wrzasku, że we wszystkich oknach wychylają się głowy, mowy nie ma o wyjeździe incognito. Na razie, póki wykańczano garaż, auto stało na podwórku. Na wystawie w Klagenfurt kupiłem urządzenie alarmowe. Jeśli się je odbezpieczy, zostawiając wóz na postoju, to przy dotknięciu karoserii gdziekolwiek, od kufra po maskę, zaczyna balansować platynowe wahadełko i wóz dwadzieścia jeden razy daje sygnał. Kiedy ucichnie i nieproszony intruz zabiera się do niego ponownie, cała operacja się powtarza.